TYGODNIK KATOLICKI.

1862. Grodzisk, 18. Kwietnia. №16.

Tygodnik katolicki wychodzi co tydzień w Piątek. Cena prenumeraty 1 Tal. ćwierćrocznie. Listy z zagranicy adresować należy do Grodziska (Graetz, Grand Duché de Posen.) Redakcya odbiera i odsyła korespondencye frankowane. Rękopisy tylko się na wyraźne, poprzednie żądania zwracają. Po użyciu ulegają niezwłocznie zniszczeniu.

ZACNY MÓJ XIĘŻE ALEKSY! Xięży do izby przypuścić. A cóż dopiero o Galicyi mówić, gdzie zacny zkądinąd, a tak popularny poseł

ZACNY MÓJ XIĘŻE ALEKSY!

Wymawiasz mi uprzejmie, że od dawna nic do *Tygodnika* nie przysłałem; a mianowicie żądasz, abym co napisał o stanowisku kapłana w sprawach krajowo-politycznych.

Com miał, posłałem do *Przeglądu,* bom się dawniéj do tego zobowiązał. Zobaczysz to w wychodzących teraz numerach. Do pisania wiele, nie mam dosyć płodnego umysłu; a i mnie gniecie stan kościoła i położenie Stolicy Apostolskiéj: i mętne stanowisko naszéj *intelligencii* krajowéj obok cierpienia powszechnego i trwające wciąż odurzenie dziennikarstwem francuzkiém i wypadkami włoskiemi braci moich wygnańców. Wyziewy kłamstwa, obłudy, fałszywych zasad, sofizmatów tak okołowaciły mnóstwo główów polskich, (równie jak w całym świecie), iż najmocniéj jestem przekonany, że słowo, pismo już bardzo mało kogo upamięta. Jeden Bóg może świat uleczyć, dopuszczając, aby zakosztował ostatecznych następstw wszystkich zasad, które dziś popłacają; a te leki tak muszą być bolesne, iż człowiek wolałby nie żyć, aby nie patrzeć na to. Co mówię, co piszę, to jedynie dla sumienia, aby późniéj odczarowani, którym się uda wypłynąć z krwawobłotnéj topieli, nie wyrzucali nam: „dla czego żeście nas nie ostrzegali?“ W tym celu jak dawniéj ogłosiłem dwa kazania o władzy doczesnéj papieża, i o dzisiejszym ruchu włoskim; tak obecnie wydałem w *Przeglądzie* domówienie kazania mego w dzień Nowego Roku i posłałem kazanie o *niepożytości kościoła;* aby skłonić Polaków do trzymania się opoki Piotrowéj.

Co do drugiego, t. j. co do stanowiska kapłanów polskich w sprawie narodowéj; chętnie przyznam X. Brzezińskiemu, że mógłem w liście moim otwartym z roku 1849. w tym przedmiocie, być pod wpływem owoczesnych wypadków politycznych i nieszczególnéj roli, jaką niejeden Xiądz, albo wywłoka z klasztoru odegrał. Nigdy jednak nie byłem za usunięciem się systematyczném duchownych od posług krajowych, mianowicie w położeniu tak anormalném jak nasze; ale zawsze pod dwiema warunkami: 1) aby wszyscy mogli widzieć i wiedzieć, że my Xięża czynimy to z poświęcenia dla dobra pospolitego, nie z ochoty; 2) abyśmy nie służyli za narzędzie dla *królików* politycznych, tych właśnie, o których piszesz, że płaszcz na dwóch ramionach noszą. Ci z szanownych kollegów w kapłaństwie, którzy mi wyrzucają zbytnią oględność, nie mieszkają jak ja *in partibus infidelium,* i nie wiedzą może tyle, ile ja, co się za kulissami dzieje. Zyjecie w części Polski najlepiéj już po katolicku wyrobionéj; a jednak publicyści z polskiém sercem, ale z niemiecką niekatolicką głową réj jeszcze u was wodzą. Choć Bóg i ludzie i Prusacy wiedzą, że gdyby nie Xięża, toby zapewnie i połowy wyborów polskich w prowincyi nie było, czyż jednak z największą dostatecznością nie raczyli przed ostatniemi wyborami ogłosić, iż przez wzgląd na dobre sprawowanie się duchowieństwa, wypada, aby i kilku Xięży do izby przypuścić. A cóż dopiero o Galicyi mówić, gdzie zacny zkądinąd, a tak popularny poseł ultra Józefinskie zasady przeciw kościołowi popiera i ze stanu (staat) prawdziwego bożka robi? Może się ja mylę, a może się mylą ci, którzy liczą za wiele na pewną popularność, jaka dziś Xięży otacza. Niech pamiętają, że w *intelligencyi* i rabbini patriotyczni są równie popularni; jako powolne i wygodne środki do działania na massy, które jeszcze nie są *dosyć oświecone.* Otóż wcale mi się nie uśmiecha, aby *nieobrzezani* na duchu posługiwali się po prostu Xiędzem, któregoby rzucili chętnie w kąt jak ścierkę, skoro się bez niéj obejść potrafią.

Boć nie łudźmy się (jakem dotknął w mowie pogrzebowéj po ś. p. biskupie Dekercie) nie łudźmy się, iż jeżeli w massach jest tradycyjne szczere pragnienie widzenia Xiędza w każdéj radzie, to na klassy oświeceńsze od trzech już lub czterech pokoleń przeciwny zupełnie wiatr wieje. Krzywdą podziałów ojczyzny rzuceni w objęcia rewolucyi francuzkiéj; przez wychowanie głowy mamy albo z francuzka, albo z niemiecka, albo z angielska przykrojone. Ale, że znajdujemy spółczucie we francuzach, i na tych sympatiach nadzieje nasze opieramy; jesteśmy więc przedewszystkiem Francuzami! A we Francyi *l'état est laique, la loi est athée,* a Xiądz do kościoła i zakrystyi ściśle ograniczony. Idąc za Francuzami, zakochaliśmy się w Piemoncie, i wszystkie jego grabieże, przekupstwa, okrucieństwa, świętokradztwa, rozpusty i bezbożnoście, albo milczeniem pokrywamy, albo tłomaczymy, albo nawet usprawiedliwiamy. Jakże, obok niezaprzeczenie rozpowszechnionych sympatyi dla Piemontu ciemiężącego Stolicę Apostolską, prześladującego kościół i duchowieństwo, jak wierzyć szczerości dobrych usposobień dla duchowieństwa własnego? jak wierzyć w serdeczność zapraszania kapłanów do narad i czynności obywatelskich.

Dopóki Polacy nie ogłoszą się za papieżem i nie potępią Dreniczowskich i Saworowowskich rozbojów piemonckich, przeciwko innym *narodowościom* włoskim, nie będę wierzył w czułoście polityków naszych dla duchowieństwa krajowego. Nie powiadam, że Xięża nasi powinni dla tego od wszystkiego się usuwać, ale powinni znać stan rzeczy i podług tego postępować. Tylko przez wdanie się Boże możemy utrzymać się na tradycyjném stanowisku katolickiém; cała atmosfera zachodu dziś panująca, grozi zamknięciem i nas także wyłącznie w kościele i zakrystyi.

Jako jeden z dowodów niekatolickich ale zachodniorewolucyjnych usposobień naszych polityków, przytoczę usposobienie powszechne dosyć względem dziennika *Le Monde,* dziedzica dawniejszego *Univers.* Jeden to dziennik, który od początku ex professo sprawy polskiéj broni, i nigdy za to grosza nie bierze; gdy dzienniki najliberalniejsze trzeba dobrze zapłacić, aby co za Polską powiedziały. Tymczasem *Le Monde* nie jest popularny. Dla czego? nie powiedzą ci wprost dla tego, że jest katolicki; więc się czepiają tego, że po latach

1848. i 1849. Pan Latour, jeden z nadzwyczajnych redaktorów Universa pisywał za Austryą przeciwko Węgrom. A choć tenże sam Pan Latour i artykułami w dzienniku i świeżo w izbie dowiódł, że jest przyjacielem Polski, to nie przeszkadza, by zań nie wymyślali na *Le Monde*. Pomijam niesprawiedliwość krzyczącą i niewdzięczność względem Pana de Montalembert, którą już *Przegląd* wyświecił.

Powiedzą mi, że to wszystko mniejszość w narodzie. Wiemci o tém dobrze, ale to jest mniejszość ruchowa, krzykliwa, pisząca, drukująca; która schlebiając panującym namiętnościom i nadziejom, znajduje dość pokupu u rzeszy. Dobry Boże! a czyż ja nie wiem, znając Włochy, że tam wszystko wielka mniejszość robi, a jednak się jéj udaje.

Walczyć zatém trzeba, robić co można, obowiązek; ale dopóki rewolucya we Włoszech należnéj sobie chłosty z rąk samychże Włochów nie otrzyma; będzie zawsze pokusą wielu Polakom i głowy chore u nas się nie wyleczą.

Daléj, dla tego nieśmiem przesądzać przyszłego położenia społecznego duchowieństwa, iż widzę zupełne przeobrażenie wszystkich dawnych stósunków albo już dokonane, albo mające się dokonać w nadchodzącym kataklizmie. Dawniéj duchowni wpływali przeważnie na stósunki społeczne jako *wielcy właściciele ziemscy*, jako kapłani *religii jedynie prawdziwéj*, a przez długie wieki, albo *jedynie uczeni*, albo *oświeceńsi*. Owoż wszędzie już prawie, a u nas najdoskonaléj duchowieństwo z mienia obdarte, a za jedynie oświeconych mieć się nie możemy. Mówię po ludzku, nie o ile kościół przechowuje zawsze prawdziwe zasady społeczne, bo Boże: ale to właśnie dla wielu jest w kwestyi. Więc jest zarówno w kwestyi przedstawianie przez duchowieństwo jedynie prawdziwéj religii, na mocy czego biskupi nasi siedzieli wyłącznie w senacie, a Anglia choć protestancka, na mocy danych podań katolickich, tak upornie broniła się przed przypuszczeniem niechrześcijan do izby niższéj. Boć dopóki narody znały się i czuły chrześcijańskiemi nietylko o ile jednostki, ale o ile społeczeństwo; dopóki wierzyły, że Bóg nietylko jest Panem jednostek, ale i narodów; nikomu nie przyszło na myśl, aby kto nie opiera się na ewangelii, i nie pojmuje jéj jak się należy, mógł być prawodawcą w kraju katolickim, rządzić i sądzić w nim. Tolerancia cywilna dawno znana, i gościnność dla różnowierców dawno w użyciu, ale od tego daleko do bratania się na podstawie indifferentyzmu religijnego, do zejścia całkiém ze stanowiska chrześcijańskiego w życiu publiczném, a osadzenia się na stanowisku czysto ludzkiém rozumu przyrodzonego.

Dziś wszakże popularne jest *równouprawnienie* bez względu na wyznania; i przemogło ono już w Austryi pomimo konkordatu, pomimo ostatków tradycyi państwa katolickiego. Gdyby tylko chodziło o różnowierców chrześcijan, dla nas Xięży i prawowiernych polskich nie byłoby to rzeczą straszną; tak mało mamy protestantów, tak nieoświeconych i chętnych do katolicyzmu odszczepieńców. Ale równouprawnienie rozciąga się i do żydów; nietylko w krajach zachodnich, ale w sąsiedzkiéj nam Austryi siedzą już ani wolni w izbach prawodawczych. Owoż katolicy przez ośmnaście wieków dając gościnność, możność zarobkowania, bezpieczeństwo dla osób i majątków żydom; w prostym swoim rozumie nigdyby pojąć nie zdołali, jak może lud rozsypany wszędzie od 2000 blisko lat, a nie wsiękający nigdzie, czekający na Messyasza doczesnego i na ojczyznę ziemską: jak mówię lud taki może zostać szczerze i prawdziwie obywatelem jakiegokolwiek kraju, w którym mieszka? Chyba powiedzieć, że można być obywatelem dwóch ojczyzn doczesnych i mieć w sercu podwójny patriotyzm. Jeżeli mi kto powie, że wiele żydów już nie wierzy w Messiasza i nie wzdycha za Palestyną; i że do usposobienia tak wszystkich, najskuteczniejsze jest równouprawnienie; powstaje drugie pytanie, o ile korzystném jest dla kraju mieć mnóstwo niedowiarków niechrzconych: choć z tego, co się dzieje na zachodzie widoczna, że żyd, nawet niedowiarek, niechętny jest chrześcijaństwu, jest przyrodzonym członkiem wszelkiéj oppozycyi, stronnikiem rewolucyi.

A u nas żydzi nie stanowią jak gdzieindziéj jedną setną, ale przynajmniéj jedną dziesiątą ludności; przemysł, handel, kapitały wyłącznie prawie w ich ręku. Nadto mieszkają prawie wszyscy po miastach, a w systemacie parlamentaryzmu nowożytnego, miasta mają stanowczą przewagę i właściwie rządzą. W Belgii tak oświeconéj, przemyślnéj, nawykłéj od wieków do rządów municypalnych, niezmierna mniejszość *wolnych-mularzy* scentralizowanych po miastach rządzi cały krajem. Kwestya żydowska cięższa u nas od kwestyi włościańskiéj i wszystkich innych.

A jaki na to ratunek? na wszystkie uwagi jedni odpowiedzą, *równouprawnieniem, postępem, duchem czasu, wyobrażeniami nowożytnemi:* inni, że żydzi przynoszą wielką siłę i pomoc ruchowi narodowemu. Zgadzam się, że tę siłę mają i w części przynoszą: ale czy téj pomocy za drogo nie zapłacimy? Czy oni pracują dla nas, czy z nami dla siebie? Ponieważ to *równouprawnienie* przeprowadzają rządy obce, czy, dostąpiwszy go żydzi, nie obrócą się przeciwko żywiołowi narodowemu, jak to uczynili w Poznańskiém? Więcéj, czy Polska z czasem nie zostanie żydowską? Bo nie wiem, czy nasi zwolennicy bezwzględnego równouprawnienia pomyśleli, że w moc niego, w mnóstwie miast u nas, mogliby żydzi po radach miejskich zasiadujący zażądać, aby krzyż (jeżeli jest) z rady miejskiéj wynieść i świątkować raczéj w Sobotę, niż w Niedzielę przez wzgląd na dogodność większości mieszkańców. Czy pomyśleli, że w izbie poselskiéj mogliby powiedzieć, nie jesteśmy tu ani chrześcijanami, ani żydami, tylko Polakami, więc radźmy bez względu na symbola religijne, i przyjmujmy tylko to, na co nasz rozum przyrodzony, wszystkim spólny zgodzić się może? —

A w takim stanie rzeczy, czy jest położenie społeczne, i jakie dla kapłana. Dopóki dziś spólny ucisk zmusza do wyrozumiałości zobopólnéj, obawy nasze mogą się wydawać urojonemi, ale pokazałyby się one zanadto sprawdzone w razie spólnego tryumfu. I Belgia wyswobodziła się przez koalicyą garstki wolnomularzy z massą katolicką narodu, tymczasem wolnomularze zapanowali i panują.

O! gdyby nie było u nas niemądrego wstrętu do kojarzenia się rodzinnie z nawróconymi żydami, jużby ta trudność w wielkiéj części była załatwioną, jużbyśmy mieli liczną, silną, obrotną klassę średnią; a nie mielibysmy natomiast w Warszawie licznych *frankistów;* udanych tylko i powierzchownych chrześcijan. W dzisiejszém położeniu, jedyna nadzieja w Bogu, że nas wyratuje, dając łaskę szczerego nawrócenia się do kościoła znacznéj przynajmniéj części naszych żydów.

Pojmujesz teraz kochany Xięże, że waham się mówić o przyszłości społecznéj i polityczném położeniu duchowieństwa w Polsce. Sądzę, że gdy grożący przewrót społeczny obali wszelkie sztuczne budowania ludzkie, kościół choć zraniony w osobach i mieniu, utrzyma się

jeden, dla tego, że Boski. Sądzę, że wtenczas powołanie duchowieństwa będzie ogromne, i wpływ wielki, może większy, niż kiedykolwiek, ale nie sądzę, by był oparty na tych samych podstawach, wywierał się w ten sam sposób, co dawniéj, nawet w czasach panowania katolicyzmu; bo w dziejach nic całkowicie i w tych samych warunkach nie wraca.

Z tych wszystkich względów, my kapłani, czyniąc co każdy może w swojém położeniu dla dobra pospolitego, pracujmy przedewszystkiém, nad prostowaniem skrzywionych pojęć i wyobrażeń społecznych. Nie mogąc całkiem złego usunąć, starajmy się je zmniejszyć, i bądźmy gotowi w duchu miłości opatrywać Samarytanina poranionego i obdartego przez najstraszniejszych zbójców, jakiemi są fałszywe zasady.

Jeżeli sądzisz, że te moje uwagi mogą się zdać na co, umieść je w twojém piśmie.

Bóg z nami! frater charissime,

X. Hieronim Kajsiewicz.

Paryż dnia 31. Marca 1862. roku.

PLEBAN Z ARS

Żywot

X. JANA VIANNEY.*)

Wstęp.

Gdy opuścisz Lyon i miniesz przedmieście de Vaise, w niejakiém oddaleniu od tego ożywionego i duchem pobożności nacechowanego miasta, spotkasz między gościńcem do Paryża i do Bourbonnais rozrzuconą w miłym ładzie na dwóch przeciwległych sobie wzgórzach, piękną wioskę, nie liczącą więcéj nad 1300 dusz osady: jest to Dardilly. Wszystko wokoło miły tworzy widok; tu nęcą do siebie cieniste, świeżością oddychające rozkoszne doliny, które przezroczyste strumyka przeżynają wody — ówdzie w miłym porządku przedstawiają się oku winnice, łąki, sady, a daléj wspaniałe bory. Wchodząc zaś do saméj wioski, ujrzysz po lewéj ręce domek skromny. Z wejrzenia, małém otoczony podwórzem.

W nim to, żyła z końcem zeszłego stulecia miernie zamożna rodzina owych uczciwych rólników, którzy tradycyjną dzisiaj pracowitość z pobożnością przechowali, rodzaj ludzi krzepkich i zdrowych, którzy więcéj jak 50 lat krajowi księży, braci zakonnych i wojowników dostarczają.

Od niepamiętnych czasów zagroda ta własność rodziny Vianney, była znaną w okolicy jako dom przytułku ubogich, jako miejsce schronienia dla przeciągających rodzin żebraków okolicznych, które tamże zazwyczaj nocleg i gościnność patryarchalną znachodziły.

W liczbie tych nędzarzy, którzy co wieczora tamże schronienia szukać przychodzili, znajdował się pewien niezwyczajny żebrak, mimo że całą swą powierzchownością wcale się nie różnił od reszty ubogich, który wraz z innymi codzień domu tego gościnne przestępował progi, na wpół nagi, biodra zaledwie lichą okrywał szmatą; włosy jego w dziwnym były nieładzie, z ramion spadał stary płaszcz — wreszcie cała powierzchowność brudna i odrażająca, zwykła ludziom téj klassy. *)

Ten nieznajomy mógł liczyć wtenczas lat 20.; szedł zaś do Włoch; było to w Lipcu roku 1770.

13. lat późniéj, w jednéj z dzielnic najbiedniejszych starego Rzymu między Kapitolem Wiminalem a Eskwilinem w równéj prawie odległości tak od Kolisseum jako od Forum Trajana dziwne zaszły zdarzenia, które zwróciły na się uwagę miasta, które oglądawszy tyle dziwnych, niepojętych, cudownych rzeczy, zwykło niczemu nie dziwić się więcéj.

W wielką Środę roku 1783. po południu, nędzny żebrak po długiéj modlitwie przed Matką Bożą ludową *des Monts,* upadł wskutek wyniszczenia sił, na wschodach prowadzących do świątyni — był zaś tak osłabionym, że go prawie umierającego podjęto. Gdy go w ubraniu jeszcze złożono na łożu, prosił o szklankę wody, którą wprzód ofiarowawszy Bogu wypił, poczém zatopił wzrok swój w niebo promieniący niebiańskiém natchnieniem i słodyczą tak dalece, że otaczającym widok jego mimo woli łzy wycisnął. W kilka godzin późniéj skonał. W téjże saméj chwili dzieci onéj dzielnicy napełniły ulice krzycząc: „Umarł święty,“ *E morto il Santo!* nazajutrz zaś krzyki te w całym było Rzymie słychać. — Gromadami zbiegały się tłumy do domu, gdzie spoczywał święty — a przemocą torowano sobie wejście, tak, że straże porozstawiać trzeba było, by powstrzymać ten natłok ludu.

Dzielnica de Monts chcąc pochować w swym okręgu jego zwłoki, błagała, by je pogrzebać w kościele, który najmilszym nędzarzowi był za życia — pod tą płytą, na któréj zwykł się był modlić od chwili gdy dzwony pierwszy „Anioł Pański“ ogłosiły aż późno z południa. Ciało jego niesiono niby to w świetnym tryumfalnym pochodzie, otoczone podwójną strażą żołnierzy. Cała stara na ten obchód wyruszyła Roma; patrycyusze z plebeuszami jeden tworząc zastęp płakali zmarłego, tak, że rzadko królewskie pogrzeby w świetności temu wyrównać mogą.

I wielką jest zaprawdę chwała przyjaciół Bożych, cała wielkość i wspaniałość ziemi niknie wobec tychże wielkości! Umie Bóg zaiste wybrane swe, chociażby też do najniższéj społeczeństwa klassy należeli i światu nieznanymi, a w oczach jego małymi byli, wynieść po nad wszystkie moce i chwałę tego świata, czém wszystkiém oni dla Jego miłości pogardzili.

I oto zaledwo złożono do grobu święte te zwłoki, a w dziwném przeczuciu czuł ten naród, że wkrótce wsławić się miały i wkrótce o tém tylko w Rzymie mówiono, jako na téj saméj płycie w kościele N. P. Maryi de Monts, gdzie jeszcze wyczytasz imię żebraka z Gallów ziemi dzisiaj, ślepym wzrok żądany, słuch głuchym, mowa niemym przywracane były; jako chorzy, pozbawieni nadziei, zdrowie ztamtąd wynosili.

I wielką cudowną była moc tych szczątków nieznajomego złożonych pod kamienną osłoną, że mógłeś myśleć, że wróciły czasy, w których Zbawiciel nasz wielkością cudów przez siebie zdziałanych świat w podziwienie wprawił.. I trzeba było zamknąć podwoje świątyni przed mnóstwem pobożnych pielgrzymów, którzy ją oblegali, a kilka dni widzieć mógłeś, jako niezliczone tłumy przejęte uczuciem miłości i uwielbienia rozklęczone, zajmowały ulice i place poblizkie, płacząc

---

*) Znakomite to dzieło, o którém *Tygodnik* już wspominał, tłomaczy pewien kapłan diecezyi przemyskiéj: Podajemy tę pocieszającą wiadomość czytelnikom naszym, bo już dochodziły nas doniesienia, że i inni duchowni tą samą pracą zająć się chcieli. Zamieszczamy wyjątki z tłomaczenia przemyskiego.

*) Oto obraz wierny, który skreślił spowiednik jego, ksiądz Marconi.

z uciechy i uniesienia, jako w pokorze biły czołem o głazy bruku i w świętém uniesieniu całowały te ściany, które kryły w sobie chwalebne zwłoki nędzarza ubogiego — dla Chrystusa.

I oto ten biedak, którego sława wyszła z cichy i skromnéj grobu ustroni, który wstrząsł miastem świętém, w przededniu wielkiéj onéj rewolucyi, która wszystko, co wielkie i święte zbezcześcić i podeptać miała, nazajutrz po wielkim tryumfie i dnia pełnym chwały dla Woltera, mści się w imieniu Francyi, która go wydała, téj hańby i sromoty, którą religią okryli, nad jéj nieprzyjaciołmi, licznemi cudy, zdziałanemi w wielu i w różnych miejscach tak, że tymże kłam zadać niepodobieństwem było; tym to zaś nędzarzem jest, ten nieznajomy, ten żebrak, który doznał gościnności w Dardilly, który nocował pod strzechą Piotra Vianney, który wraz z innymi wieczerzał u biednego a miłosiernego rólnika, który dekretem Piusa IX. wyniesiony z podziemiów bazyliki N. M. Panny de Monts stanął, na téjże ołtarzach ku uczczeniu.

Był to Benedykt Józef Labre, na którego grobie samiśmy kolana ugięli, prosząc, by nam zwrócił jałmużnę, którą wziął był przed 90 prawie laty, by nam dopomógł napisać to życie—życie, które było może dziełem, wynikiem jednego Jego westchnienia, jednéj modlitwy, owocem błogosławieństwa, które Jego wdzięczne serce wydało — któż to może wiedzieć — proboszcz bowiem z Ars zwykł był mówić: „Gdziekolwiek idą święci, Bóg też z nimi idzie.“

Dla czegóżby nie można przypuścić, że narodzenie i wybranie Jana-Maryi Vianney było skutkiem, owocem tego, że Bóg wraz z sługą swym przestąpił gościnne wyż wspomnianego Ojca progi.

W rzeczach bowiem zbawienia i duszy dotyczących wiele znajdziesz tajemnic, których tajników dociekać wiara się nie boi, wiele uderzających podobieństw, które są często objawieniem przeznaczenia, które nie są czém inszém jak „Może“ — i jeżeli słaby rozum zarówno jak pychą nadęty wzbrania się je poznać, dusza chrześcijanina mimo braku wszelkiego objawienia i nadzwyczajnych oświeceń z góry przenosi wiarę wewnętrzną niezmąconą w to, że istnieje przygotowanie chociaż nie zawsze widome, zawsze jednakowoż pewne, które zamiary i dzieła Boskie poprzedza.

I oto co pewna, że to dziecie błogosławieństwa, które miało pozyskać dla nieba wielką liczbę dusz, przyszło na świat w tym samym roku, w którym cudowna moc Benedykta Labre na tegoż grobie w całém zajaśniała świetle.

KSIĘGA I.

Życie domowe M. Vianney

od urodzenia, aż do odebrania zarządu parafii w Ars 1786—1818.

ROZDZIAŁ I.

Narodzenie J. M. Vianney — Jego wiek dziecięcy.

Co mniemasz za dziecie to będzie? Abowiem była z nim ręka Pańska. Łuk. 1. 66.

Z bogobojnych zrodzon rodziców, obdarzon miłością Boga w dziecinnym już wieku, w wielkiéj żył skromności i niewinności (Brev. Romn. S. Juzef a Cupertino.)

Chociaż nie jesteśmy tyle szczęśliwymi, byśmy wraz z życiem i niewinność odbierali, przecież najświętszy Zbawiciel, który przyszedł na świat naprawić to, cośmy stracili, dozwala, że znajdziesz rodziny, w których wskutek łaski szczególnéj, cnota zda się być dziedziczną, w których ojcowie i matki tak świątobliwy i chrześcijański prowadzą żywot, że dziatki nie mogąc wprawdzie prawem pochodzenia wziąść ich cnót i świątobliwości, te z przykładów tyle sobie przywłaszczają, że im się drugą stają naturą. Zarówno bowiem jako dziedzicznemi są błędy i ułomnoście we krwi swą przyczynę mające, tak też spuścizną idą z ojców na syny cnoty rodzinom pewnym właściwe.

Te chrześcijańskie tradycyjne cnoty, żywo, w wielkim stopniu przebijały w całym żywocie Macieja Vianney i Maryi Beluse *) rodziców Jana Maryi, którego historyą skreślić mamy. Matka więcéj uczciwa, wielką okazywała łagodność w pożyciu domowém, słodką była w mowie, uprzejmą w obejściu się, w całém jéj życiu przebijała się wyższość i wzniosłość uczucia, co wszystko było u niéj owocem serca, religii prawdami uszlachetnionego. Ojciec zaś jako na mężczyznę przystało, był charakteru stałego, więcéj zimny, wielce zaś uczciwy, tak że sprawdziło się na nim stare przysłowie: „że życie rólnika graniczy z mądrością aż do tego punktu, że możnaby mniemać, iż oboje pochodzą z téj saméj krwi i mają ten sam początek.“

A byli oboje sprawiedliwymi przed Bogiem, którzy jako Zacharyasz i Elżbieta w usprawiedliwieniu i bez przygany we wszystkich przykazaniach Pańskich chodzili. Lecz nadto błogosławił im Bóg, jak owym patryarchom, tak, że w przeciągu 10 lat sześcioro potomstwa się doczekali.

Pobożna matka nosząc w żywocie drugiego syna, często go Bogu i Najświętszéj Pannie ofiarowała; zrobiła nawet skrycie ten szlub, że jeżeliby Bogu podobało się ziścić jéj serca życzenia, — na służbę ołtarza chce go poświęcić. W skutek tego przeczucia, które się zrodziło w sercu pobożnéj matki, dziecięciu przy chrzcie św., który w sam dzień narodzenia 3. Maja 1786. się odbył, imię Jana Chrzciciela i Maryi dano.

Wiadomo, że już poganie pewne znaczenie do wyboru imienia przywiązywali, że ztąd zazwyczaj szczęście i powodzenie wróżono. I tak niedarmo imie św. Melitusa, mówi Grzegorz z Nanzianzu, miód oznacza, był ci bowiem żywot jego okraszon słodkością drogocenną pięknych świętych obyczajów. Świętéj Agniszce nie dano imienia ludziom zwykłego, ale właściwe męczennikom, mówi św. Ambroży. I żadno imie nie mogło być stósowniejszém dla przyszłego dusz pasterza w Ars, jak to przesłańca Chrystusowego — jego bowiem powołaniem było przywoływać ludzi do pokuty, o nim to, jak o świętym Janie można powiedzieć, że był głosem: „Prostujcie drogi Pańskie.“

Przyniesiony był do kościoła przez stryja swego Jana Marya Vianney i tegoż żonę Frańciszkę Martignon.

Opowiadają też — dla stwierdzenia jednakowoż tego, uderzająco szczególnego zdarzenia bardzo wiarogodnych i przekonujących trzebaby dowodów — że téjże saméj chwili, kiedy go do kościoła przyniesiono, akuszerka wyszedlszy, by rozpoznać bieg ciał niebieskich w celu wróżenia, wracając bez względu na położenie matki wołać poczęła: To dziecie będzie albo wielkim świętym, albo wielkim grzesznikiem. Gdy te ostanie wymawiała słowa, wszedł Maciéj Vianney, co posłyszawszy widząc

---

*) Maciéj Vianney syn Piotra V. i Maryi Charavey z Dardilly ożenił się 11. Lutego 1778. z Maryą Beluse córką Piotra Beluse i Małgorzaty Tabard z Ecully.

Piotr Vianney miał 7 dzieci: Piotra i Katarzynę bliźnięta, Michała Klaudyusza Macieja — ojca naszego proboszcza — Jana-Maryę i Katarzynę.— Umarł zaś 2. Stycznia 1779., żona zaś w roku następnym.

jak przykre wrażenie te ostatnie słowa na obecnych zrobiły, zgromił ostro nieroztropną i począł naśmiewać się i szydzić z téj wróżby. Cokolwiekbądź słów tych wyrzeczonych cofnąć, zatrzeć nie można było, głęboko zaś utkwiły w sercu i pamięci matki, która też nie pierwéj ochłonęła z wrażenia, aż w całém życiu i postępowaniu dziecka spostrzegła oznaki tych cnót, które ją ośmieliły, że wyrzec mogła: mój mały Jan-Marya świętym a nie grzesznikiem będzie.

Marya Beluse sama dzieci karmić postanowiła, nie chciała bowiem, by krew inna jak jéj własna płynęła w jéj dzieciach, ztąd też i Jan-Marya nie mógł być wyjątkiem, lecz zarówno z pokarmem, który utrzymuje i żywi ciało, podawała mu pokarm duchowy, poiła go mlekiem duchowném, cnotami, których pełném było jéj serce, a które utrzymują świeżość i cały wdzięk niewinności właściwy.

Niepodobna do onych matek, których pierwsze objawy rozbudzenia się myśli w dziecięciu już to bawią i cieszą, już też znowu nudzą i utrudzają, od pierwszéj chwili wielce uważała, aby je skierować do Boga, by skierawać ku Niemu pierwszy rozbudzający się promyk poznania w tém małém chłopięciu.

Miłemi nader są Bogu pierwociny z dzieł jego, ztąd usilnie starać się powinne matki, by pierwsze objawy życia, pierwsze uderzenie serca, pierwszy odblask rozświecających się zdolności umysłowych, pierwszy dźwięk mowy był wyrazem hołdu winnego Stwórcy.

Na to też matka małego Jana-Maryi całą swą zwróciła uwagę; w półtora roku składał za przykładem matki swe małe rączęta, by wymawiać te słodkie imiona Jezus Marya, z każdym dniem więcéj słów wymawiać poczynał, a słowa te były słowami modlitwy świętéj.

I zaprawdę tak, a nie inaczéj być winno, od chwili bowiem, jak człowiek wpisanym zostanie w księgę żywota, który ma wieść na ziemi, winien dążyć do kresu wyznaczonego — zajść tam może modlitwą. I nad tém czuwać winny matki. Otóż to matka naszego chłopięcia z całą macierzyńską starannością nad tém czuwała.

Ta pobożna matka, jako często opowiadał Vianney, budząc dziatwę z rana, czuwała, by żadne z dzieci nie zapomniało o modlitwie, by pierwsza myśl, pierwsza czynność z chwałą Boga się poczynała.

Pewnego dnia z rozczuleniem przypominał sobie czcigodny proboszcz z Ars wiek swój dziecinny, gdyśmy mu „tę uwagę zrobili, ze szczęśliwym mienić się może, że tak wcześnie niebiańskich słodyczy modlitwy zakosztował, odrzekł: Po Bogu winien to jestem przedewszystkiem staranności matki, ona to tyle roztropną była, często mi bowiem mówiła: Pamiętaj sobie mój mały Jasiu, że jeżelibym widziała, że ty obrażasz Boga, dalekoby mnie to więcéj bolało, niż jeżeliby to, które inne z mych dzieci uczynić miało.“

Cnota, zwykł był mówić, przechodzi z matek na dzieci, jeżeli tylko chętnie to pełnią, co one chcą, by czyniły.

„Przypominamy sobie, jako między innemi mówił, że dziecko winno płakać, gdy spogląda na matkę.“

Często zazwyczaj błędne mamy wyobrażenie o chwili, w któréj poznanie Boga i czci Jemu należnéj, staje się własnością duszy, podczas, gdy to właśnie duszom przez chrzest św. odrodzonym jest zachowane, gdy to właściwie jedynym niewinności i czasów takowéj jest przywilejem.

Człowiek od 5 lat robi się, urabia się na ręku, na kolanach matki. W 5. roku święta Róża z Limy szlub z swego dziedzictwa uczyniła, w pięciu leciech święty Frańciszek Salezy zaczepiał Kalwinistów i słowami katechizmu dowodził im jako w błędzie zostają.

Piątą wiosnę liczyła ś. Magdalena z Pazzi, a już uczyła dzieci w równym sobie wieku, w dnie zaś, w które matka jéj do Stołu Pańskiego przystępowała, zwykła była siadać téjże na kolanach i główkę swą do jéj piersi przytulać, aby jak mówiła, być bliżéj Chrystusa, którego przemieszkującego w przybytku serca matki tym sposobem adorowała.

Trzy lat zaledwie liczył Jan-Marya, a pełen zamiłowania w modlitwie, szukał już osobności; widocznie przemieszkiwał w tém młodocianém sercu Duch święty; zaledwie bowiem, że mówić poczynał, a już chciał należeć do wszystkich ćwiczeń pobożności, które w jego obecności się odbywały, a skoro tylko słyszał, że dzwonią na Anioł Pański, bądźto w południe, bądź przy schyłku dnia, piękny całemu domowi przykład dawał; pierwszy bowiem klękał, by zmówić Anioł Pański, a to ze zwykłém pobożném przejęciem się i uszanowaniem.

W domu rodzicielskim w każdym kącie, w każdéj stronie były dlań kryjówki, w które schowany bardzo często gubił się tak, że nie wiedziano, gdzie się podziewał, znachodzono go zwykle jak siedząc w takiéj kryjówce, wszystkie znane sobie odmawiał modlitwy.

Pierwszy podarek, który otrzymał, była statua maleńka N. P. Maryi z drzewa rzeźbiona przez matkę mu darowana. Poważny i pobożny, jaki był nad wiek swój dziecięcy, nie uważał on téj drogiéj mu nad wyraz statuy jako przedmiot zabawy; była dlań przedmiotem czci, widok téjże był mu najmilszy, środek to był najpewniejszy na utulenie go w płaczu. „O! jakoż kochałem tę statuę, mawiał po sześćdziesięciu leciech; nie mógłem się od niéj oderwać, ni w dzień, ni w nocy i nie byłbym mógł usnąć spokojnie, gdybym jéj był nie miał przy sobie w kołysce.“

Nadzwyczajnie rzadko się zdarzało, by kiedy dla jakiéjś zachcianki dziecięcéj, dla przykrości, które dzieciom zazwyczaj często się przytrafiają — płakał, jednakowoż i w tym razie niezawodnym środkiem na uspokojenie go było, gdy mu do rąk różaniec, lub też obrazek jaki dano, niejakoby to miało być zabawką, którąby go rozweselić zdołała, lecz jako przedmiot, który on godnie ocenić zdołał, a który zawsze milszym mu był, niż wszystkie igraszki, niż każda insza zabawka. —

Długie zimowe wieczory, jakiemi są na wsi, pędził rozmawiając o niebie, o Bogu, którego tamże widzieć, kochać można, a co więcéj nie obrażać, mówił zaś o tém z matką, która ztąd niewymownéj doznawała słodyczy i pociechy, codzień bowiem urzeczywistniać się poczynały nadzieje, jakie o tém dziecku powzięła.

Między pobożnemi uczuciami, które jako kwiaty na wiosnę w młodocianém jego sercu bujnie zakwitać poczęły, a które starannéj matki ręka z wszelką pieczołowitością pielęgnowała, przodkowała innym dewocya, nabożeństwo ku Najświętszéj Pannie, przymnażała sie zaś z każdym dniem, i coraz głębsze puszczała korzenie.

Od dawna też pytał go ksiądz, ku pomocy mu dany, kochasz N. Pannę? Kochałem ją wprzód, nim ją jeszcze poznałem, to najdawniejszy mój affekt. Będąc jeszcz bardzo małym, miałem różaniec; lecz niestety, pozazdrościła mi go siostra, zachciało się jéj go mieć.

I oto tu doznałem pierwszego zmartwienia. Radziłem się matki, co mam robić, ta zaś z miłości ku Bogu odstąpić siostrze radziła. Byłem posłuszny w prawdzie, jednakowoż niejedną mi to łzę wycisnęło.

Z wiekiem wszystkie te dobre uczucia mocy nabierały i można rzec śmiało, że nigdzie tak mile czasu nie pędził, jako na modlitwie, zanim poznał, że ona jest pierwszym naszym obowiązkiem. Święte te modlitwy wonią swą zdobiły te usteczka, które u niewinnych dziatek na wsi

osobliwie, niestety! rubaszne i nieprzyzwoite kalać zwykły słowa, z któremi, co i ustrzedz trudno, tak prędko niestety te niewinne istoty się obznajmiają. Co się zaś jego tycze, nie znaną mu była ta rubaszna nieprzyzwoita mowa, bo i gdzież, pytam, miał się jéj nauczyć? Nic bowiem nie uderzało go w oczy, nic uszu jego nie doleciało, coby nie było dla duszy jego ziarnem, cnotę rodzącém. Dom rodziców jego był przybytkiem cnoty, pobożności, do którego nie zapukało, nie zajrzało żadne zgorszenie — w jakiéjkolwiekbądź formie, nie ważyło się, tamże dotrzeć. Nadto dzieciak ten, nie opuścił nigdy matki, chyba, że w skrytości kącika chciał się ukorzyć przed statuą swéj najdroższéj Matki Bożéj, i wtedy to z niebieską obfitością płynęła z serca jego modlitwa, na któréj go często rodzice, zawsze wielce tém ucieszeni, znachodzili.

Mając cztery lata, znikł był pewnego razu tak, że trudno go było odszukać, matka obawiając się jakiego nieszczęścia, wielce strwożona, długi czas go szukała. W końcu spostrzegła, jak nieruchomy klęczał w kącie stajni trwając na gorącéj modlitwie, powstrzymała pierwszy wybuch radości i uwielbienia, ażeby mu tę obawę, z jaką go szukała okazać, rzekła w tonie nagany: „Dla czegoż to dziecko tyle sprawiłeś mi niepokoju i zkąd ci ta myśl przyszyszła, byś aż tu chował się przedemną, aby się modlić.“

Zmieszany tém, że stał się przyczyną troski dla matki, rzucił się w objęcia matki wołając: „Daruj matko, nie chciałem ci robić téj przykrości, nie udam się tu już więcéj.“ I powtarzał te słowa pełen pokory.

Inną razą pewien sąsiad, który nie należał do liczby wielce nabożnych, rzekł do Macieja Vianney, ojca tego malca: „Wiecie, co mnie się zdaje, że wasz mały brunecik mnie za djabła trzymać musi, bo w méj obecności robi znak krzyża św. Matka bojąc się, by jakkolwiek mały nie odszczególniał się i nie zwracał nadto uwagi na siebie, zrobiła mu kilka uwag, na które, on wysłuchawszy je, z wielką uwagą odpowiedział: Nie myślałem, żeby nasz sąsiad na mnie uwagę zwracał, myślę jednakowoż, że poczynając i kończąc modlitwę, znak krzyża świętego zrobić wypada.“

Mówię, że młody Tobiasz nie miał w swym młodym wieku większéj uciechy, jak, gdy się odłączył od otaczającéj go czerni młodzieży, że nie znał inszéj drogi, jak téj, która do świątyni prowadziła, gdzie zazwyczaj składał Panu w ofierze swe serce, jako i pierwociny z swéj roli. Taką też była młodość Vianneya.

Z jakąż anielską pobożnością, z jakiém skupieniem ducha, wyższém prawie nad wiek nowy ten Samuel uczestniczył najświętszéj ofierze. Niepodobny do innych, którzy bodźca potrzebują i napomnień, by nie zaniedbać tego obowiązku, nie dał się uprzedzić nikomu w chęci gorącéj korzystania z téj łaski.

Trzeba, mówili sąsiedzi, by syn wasz był księdzem, nieraz bowiem świadkami byli téj jego świętéj gorliwości i uważali, że nawet litanie w swym wieku umiał.

Wiara jego rodziców, poważanie, jakie rzeczom świętym okazowali, przywiązanie tychże do codziennych praktyk, które rodzą i utrzymują pobożność, ich zaufanie, jakie w Opatrzności pokładali, która błogosławiła im równie w uciechach, jak i w troskach tego żywota, wszystko to wprowadzało go mimo woli prawie na drogę chrześcijańskiego żywota.

Jakoż często można było słyszeć, jak dziękował Bogu, iż mógł bez trudu prawie, z samego tylko zapatrywania się na przykłady rodziców, wzrastając pod okiem tychże ciągle bacznêm i uważném, przyswoić sobie szczęśliwe przyzwyczajenia, zachować skarb niewinności i wciągnąć się do pełnienia cnót najistotniejszych.

Możnaby myśleć, że życie na wsi w pośród przyrody w téj saméj chwili, w któréj człowiekowi oddaje władzę panowania światu zewnętrznemu, zarazem odkrywa przed nim i bierze w swą opiekę te szlachetne popędy, których całość stanowi wielkość moralną. Tajemnicze głosy przyrody przemawiają do duszy o rzeczach, których zamęt i wrzawa miastom właściwa dojrzeć, dosłyszeć nie dozwala.

Ztąd to rodziny wieśniaków są zazwyczaj bardzo religijne. To stykanie się codzienne z przyrodą, na którém to tle osnute dzieje ich istnieją, wciąż ich oko, ich działanie zwraca ku Bogu, który do nich przemawia z pośród cudownych swych tworów z każdego niemal dzieła. To słońce, deszcze, wiatry i rosa, te inne siły przyrody błogie lub straszne rodzące skutki, jakoż żywo i jasno przemawiają do duszy o tym niezależnym Wszechświata Rządzcy, który je dowolnie raz ze skarbca łaski miłosierdzia rozdaje, to znów jako mściciel zseła.

Nic nie zdoła zakryć przed nimi obecności Boga, bądźto w szczęściu, którego doznają, bądź w smutku i nieszczęściu, które je gniecie. Pewność opatrzności wkrótce ich rozum owłada, a przekonanie, to poczucie głębokie, mimo, że samo w sobie nie jest jeszcze religią samą, w sobie jest przynajmniéj drogą do téjże, podstawą, na któréj stanąć może budowa téj praktycznéj umiejętności.

Jednakowoż zbliża się chwila, w któréj te święte uciechy, to błogie zajęcie ustać miało. I tak pewnego poranku nie rozwarły się podwoje małego kościółka w Dardilly, by niedzielne odprawiać nabożeństwo, odgłos dzwonów nie rozlegał się więcéj, by zwołać wiernych na modlitwę, a gdy dziecię nasze pytało matkę rozciekawione, czemu go na mszę nie wysyła, łzę gorzkiéj boleści biedna kobieta otarła i rękę na sercu położyła, by wskazać, jako od téj chwili, tu tylko jedyna świątynia, w któréj jeszcze Boga chwalić dozwolono.

Rewolucya w istocie poczęła zamykać świątynie, burzyć ołtarze, ściągać sługi boże kapłany, wzbroniła wreszcie w imieniu wolności nowego zaiste rodzaju wszelkiego objawu myśli chrześcijańskiéj.

Nasze dziecko w prawdzie ósmy dopiero rok liczyło, a jednakowoż już zapóźno było, by wyrwać z jego duszy, by zatrzeć to uczucie, które z życiem wraz stało się jego wyłączną własnością. Ztąd też w miarę, jako widział, że wszystko niszczeje i ulega nieszczęsnemu przewrotności wpływowi, co mu dotąd miłować i szanować kazano, rósł, wzmacniał się w sercu.

KRONIKA.

RZYM.

(Koresp.) **Rzym**, 8. Kwietnia. Dnia wczorajszego rano odbył się w pałacu apostolskim tajny Konsystorz, na którym Ojciec św. w przytomności zgromadzonych kardynałów miał allokucją, w któréj oświadczył chęć dopisania w poczet świętych do dwudziestu trzech męczenników zakonu ś. Franciszka, trzech męczenników Towarzystwa Jezusowego, którzy razem z nimi odnieśli męczeńską palmę, to jest błogosławionych, Pawła Miki, Jana Soan i Jakóba Kisai. Poczém J. E. Kardynał Konstanty Patrizi, Biskup Portueński i prefekt kongregacyi obrzędów, uczynił krótki wykład sprawy kanonizacyjnéj, ażeby w tak ważnym przedmiocie czcigodne zgromadzenie mogło z pełną znajomością rzeczy zdanie swe wyrazić. W dobitnych i wymownych wyrazach opisał męki, jakie ponieśli pospołu z 23. męczennikami Franciszkańskiego zakonu, śmierć ich bohaterską zaszłą dnia 5. Lutego 1597. r. i cuda, jakiemi po tak chwalebnym zgonie Bóg uczcił sług swoich. Po wykładzie Kardynała Ojciec św. zapytał zebranych Kardynałów, azali byli zdania, ażeby przystąpiono do uroczystego kanonizacyjnego obrzędu rzeczonych trzech męczenników, na co święte kolegium odpowiedziało jednogłośném *placet*. Wówczas Ojciec św. oświadczył wolą swoją, ażeby uroczysta kanonizacya trzech błogo-

sławionych odbyła z kanonizacją ich towarzyszy i dodał, iż zwoła przedtém inne zwykłe konsystorze, których w swoim czasie porę naznaczy.

Poczém Papież przeznaczył następne kościoły:

Kościół patryarchalny Wenecki dla X. Józefa Ludwika Trevisanato przeniesionego z biskupiéj Stolicy w Udine.

Kościół arcybiskupi San-Domingo, na wyspie tego imienia, dla X. Benwenuta Monzon i Martin, kapłana diecezalnego w Teruel, kanonika z Toledo, professora Pisma św. w seminarium tegoż miasta, examinatora synodalnego i doktora św. teologii.

Kościół arcybiskupi Nicejski in partibus infidelium dla X. Józefa Berardi, kapłana diecezalnego z Ferentino, prałata domowego Jego Świątobliwości, pronotariusza apostolskiego, w Sekretarstwie Stanu i Sekretarza cyfry, konsultora świętych kongregacyi Najwyższéj inkwizycyi, i Biskupów, doktora św. teoligii i praw obojga.

Kościół katedralny w Le Mans we Francyi, dla X. Karóla Jana Fillion, przeniesionego ze stolicy biskupiéj w S. Claude.

Kościół katedralny w S. Briene we Francyi, dla X. Augustyna David, kapłana lugduńskiego, wikaryusza jeneralnego w Walencyi.

Kościół katedralny w Gup we Francyi, dla X. Wiktora Feliksa Bernardon, kapłana archidiecezalnego w Alby, plebana katedry algierskiéj.

Kościół katedralny w Saint-Claude we Francyi, dla X. Ludwika Nogret, kapłana archidiecezalnego z Vannel i plebana w Lochel w archidiecezyi Tours.

Kościół katedralny Nizkich Ziemi na wyspie Gwadelupie, dla X. Antoniego Boutonnet, kapłana diecezalnego z Rhodez i plebana w Ste Affrique w téjże diecezyi.

Kościół katedralny w Badajoz w Hiszpanii, dla X. Pantaleona Monserrat, kapłana archidiecezalnego z Saragosu, kanonika penitencyarza w tymże kościele metropolitalnym, sędziego duchownego, examinatora synodalnego, licencyata w św. kanonach.

Kościół w Puno, świeżo podniesiony do tytułu katedralnego przez Jego Świątobliwość, dla X. Marjana Chacon y Becera, kapłana diecezalnego z Curco, kanonika tegoż katedralnego kościoła, wikarego kapitularnego téjże wakującéj stolicy, examinatora synodalnego i doktora św. teologii.

Kościół biskupi Nisseński in partibus infidelium, dla X. Józefa Tessler, kapłana diecezalnego z Bressanone, prałata domowego Jego Świątobliwości, kanonika honorowego wiedeńskiego i doktora św. teologii.

Kościół biskupi Karreński (Carre) in partibus infidelium, dla X. Jana Chrzciciela Kuczkiera, kapłana archidiecezalnego ołomunieckiego, prałata domowego Jego Świątobliwości, rektora zakładu św. Augustyna, konsultora oświecenia publicznego, doktora świętéj teologii, deputata pomocnika J. E. Kardynała Rauschera arcybiskupa wiedeńskiego.

Kościół biskupi Paneadeński (Paneade) in partibus infidelium, dla X. Matjasza Eberhard, kapłana z Trèves, kanonika tegoż katedralnego kościoła, konsultora duchownego téjże kuryi, doktora św. teologii i deputata sufragana miasta i diecezyi Trèves.

Kościół biskupi Druziparański (Drusipara) in partibus infidelium, dla X. Józefa Antoniego de la Penna, kapłana diecezalnego z Mechoacan, kanonika tegoż katedralnego kościoła, wikarego jeneralnego téjże diecezyi i deputata pomocnika, X. Klemensa Munguja, Biskupa z Mechoakon.

Kościół biskupi Markopolitański in partibus infidelium, dla X. Ignacego Macieja Guerra, bisk. diecezalnego z Guadalaxara, wikarego jeneralnego tegoż miasta i diecezyi, doktora prawa kanonicznego, deputata pomocnika X. Piotra Espinosa biskupa z Guadalaxara.

Kościół biskupi Troadzki in partibus infidelium, dla X. Józefa Marjana Diez de Sollano, kapłana diecezalnego z Mechoacan, pleban katedralnego Mexykańskiego kościoła, examinatora Synodalnego i doktora św. teologii.

Poczém Jego Świątobliwość zatwierdził wybór uczyniony przez św. kongregacyą de Propaganda Fide w osobie

X. Wincentego Spaccapietra przeniesionego *ze Stolicy biskupiéj Ancyrańskiéj in partibus na Stolicę Arcybiskupią Smirneńską.*

Nareszcie Ojciec św. obdarzył paljuszem przytomnego Arcybiskupa Smirneńskiego, tudzież kościół patryarchalny Wenecki i Arcybiskupi w San-Domingo.

X. Józef Berardi, arcybiskup Nicejski, udaje się pierwszych dni Maja w godności Nuncjusza Apostolskiego do Petersburga. Zatrzyma się dni kilka w Wiedniu dla przejrzenia archiwów dawnéj nunciatury polskiéj; ztamtąd uda się do Warszawy, gdzie przenocuje tylko w drodze do Petersburga. Po złożeniu carowi moskiewskiemu wierzytelnych swoich listów powróci na dłuższy pobyt do Warszawy, albowiem rząd rossyjski przyrzekł Stolicy Apostolskiéj, iż Nuncyusz będzie mógł swobodnie jeździć po całéj Polsce, Litwie, Podolu, Wołyniu i Ukrainie. Czy można temu dać wiarę???....

Ojciec święty zawsze pełen najserdeczniejszych uczuć dla nieszczęśliwéj ojczyzny naszéj napisał do X. Felińskiego, Arcybiskupa Warszawskiego prześliczne breve, w którém go zachęca, ażeby bronił do upadłego niepodległości i niezawisłości katolickiego Kościoła prześladowanego przez schizmę. Spodziewamy się, iż najdostojniejszy Arcypasterz pospieszy udzielić narodowi to najdroższe słowo pociechy sługi sług Bożych.

Ksiądz Majerczak administrator kielecki, tudzież inni Biskupi polscy mieli być ogłoszeni na wczorajszym konsystorzu, ale ambasada machiawelska nie złożyła papierów potrzebnych do procesu kanonicznego.

Ojciec święty ostro zganił projekt listu pasterskiego ogłaszany w *Monde* i pochwalił X. Felińskiego, że go nie uznał i nie przyjął.

ARCHIDIECEZYA
GNIEŹNIEŃSKA I POZNANSKA.

(Kor. urz.) **Gniezno**, 9. Kwietnia 1862 roku.

1. Najprzewielebniejszy Arcypasterz raczył na dniu 6. Marca r. b. zatwierdzić na egzaminatorów prosynodalnych X. Ołyńskiego, assessora Konsystorskiego. X. Dr. Kozłowskiego, repetenta seminarium duchownego i X. Nożewnika, penitencyarza katedralnego w Gnieźnie.

2. Na dniu, 23. Marca r. b. o pół do drugiéj z południa umarł X. Jan Sobczyński, proboszcz kościoła parafialnego w Pobiedziskach, którego Patronem jest król. fiscus. Osierocone to beneficyum oddane tymczasowo X. dziekan. Śmiełowskiemu w Wrześni pod kommendę cum facult. subst.

Ś. p. X. Sobczyński urodził się w Dochanowie dnia 20. Czerwca 1806. r, szkoły ukończył w Pakości i dla młodości był nauczycielem domowym u państwa Zdębińskich w Łopiennie i Zalewskich w Dąbrowie, a po złożeniu egzaminu przed kommissyą egzaminacyjną w Poznaniu wstąpił do seminarium duchownego 1829. w Gnieźnie i odebrał święcenia z rąk śp. X. Biskupa suffragana Siemieńskiego d. 5. Czerwca 1830. na minorki, dnia 17. Grudnia 1831. r. na Subdiakona, 26. t. m. i roku na diakona a 25. Marca 1832. r. na presbyter. Po wyświęceniu otrzymał wikaryat w Kruświcy, następnie w Kościeszkach. Po ośmiu latach uzyskał kommendę na plebanią w Rzadkwinie, a na ostatku na probostwo w Pobiedziskach, pod dniem 6. Marca 1848., gdzietéż jako proboszcz instytuowany życia dokonał.

3. Na dniu 19. Marca 1862. r. otrzymał nominacyą na Kanonika Kollegiaty w Kruświcy od Najprzewielebniejszego Arcypasterza X. Niward Muzolff, rządzca Kościoła i parafii Tarnowo-Łęgowskiéj w Wągrowcu, kawaler orderu orła czerwonego, któremu miasto Wągrowiec zawdzięcza założenie własnymi funduszami domu dla ubogich i sierot, którego uposażenie przeszło 72,000 złtp. kosztuje.

(Koresp. urz.) **Poznań**, 16. Kwietnia 1862.

Na mocy złożonéj przez JX. Tomasza Ofierzyńskiego dotychczasowego altarzysty przy kościele w Sulmierzycach prezenty na plebanią w Pogrzybowie, udzieloną została temuż nad rzeczonėm beneficium kommenda od 1. Maja r. b.

Nad osieroconą parafią w Prochach otrzymał zarząd przez udzieloną kommendę, JX. Hippolit Zientkiewicz, zaś

Posadę pierwszego mansyonarza przy kollegiacie w Szrodzie powierzono tymczasowie JX. Waszkiewiczowi.

Grodzisk 17. Kwietnia. Dnia 28. Kwietnia przypada *ex translato* w roku bieżącym uroczystość św. Wojciecha. W całéj archidiecezyi Gnieźnieńskiéj święto to, obchodzi się uroczyście z powodu, że św. Wojciech jest patronem archidiecezyi. Wielką to stanowiłoby niedogodność dla diecezan tamecznych przy oznaczonych w tymże dniu prawyborach całéj monarchii pruskiéj na posłów do Izby poselskiéj Z tego powodu J. Oświecony Xiądz Arcybiskup, przez wzgląd na wielką wagę wyborów tak dla kościelnéj jak narodowéj sprawy, wniósł do Stolicy świętéj prożbę, aby tak w archidiecezyi Gnieźnieńskiéj jako i w tych parafiach archidiecezyi Poznańskiéj, gdzie dla tytułu kościoła dzień św. Wojciecha odbywa się z odpustem i uroczystością, odpust uroczysty mógł być przeniesiony na inny dzień późniejszy, a mianowicie na Niedzielę drugą po Wielkiéjnocy. Gdy wypadek téj prożby jest niewątpliwym, Jaśnie Oświecony Xiądz Arcybiskup polecił nam ogłosić, iż wolno jest przeto duchownym, u których ten przypadek zachodzi, zawiadomić wcześnie o tém swych parafian, a eventualnie bez dalszego się odnoszenia odpust ten w wspomnioną Niedzielę odprawić.

Już to drugi raz w tym roku Najprzewielebniejszy Arcypasterz w ten sam sposób zarządził za upoważnieniem Stolicy Apostolskiéj potrzebną zmianę uroczystości. Gdy w roku 1861. na dzień 6. Grudnia przypadające wybory dla częstéj w okolicach naszych odpustów św. Mikołaja wielką byłyby ucierpiały szkodę, *Celsissimus Dominus* także termin tego święta za zezwoleniem Rzymu zmienić polecił.

Przy téj sposobności nie zawadzi ogłosić, iż wieść rozniesiona

w „*Nadwiślaninie,*“ a potém w niemieckich dziennikach skwapliwie rozsiana, jakoby Jaśnie Oświecony Xiądz Arcybiskup nie radził duchownym swych archidiecezyi przyjmować poselskiego mandatu, nie ma najmniejszéj podstawy. Przeciwnie, Najprzewielebniejszy Arcypasterz, zapytany o to, oświadczył, że ani zakazu, ani rady podobnéj nie dawał nikomu i owszem życzeniem jest jego, aby duchowni znajdowali się w składzie posłów polskich na sejm w Berlinie.

ARCHIDIECEZYA WARSZAWSKA

(Kor.) **Z Warszawy** odbieramy doniesienia, o zgrożnych zajściach w katedrze, z których następne udzielamy wyjątki:

„Ksiądz Arcybiskup Feliński, idąc w ślady Ojców Kościoła i wielu Biskupów francuzkich, miewał w tym roku w kościele katedralnym we wszystkie czwartki konferencye, odpowiednie okolicznościom czasu z prostotą, ale zarazem z namaszczeniem chrześcijańskiém. Na parę dni przed ostatnią konferencyą, t. j. przed 10. b. m. tak Arcybiskup jak i niektórzy kapłani przez dobrze usposobione osoby, byli zawiadomieni, iż niektórzy z osób zapalonych, a zwłaszcza z płochéj młodzieży, zmówili się z sobą wyjść z kościoła, skoro tylko Arcybiskup wstąpi na ambonę. Z dobrze myślących niektórzy życzyli sobie, żeby ks. Arcybiskup w ostatni czwartek mógł być w konferencyi zastąpiony przez innego kapłana, ale nasz pasterz, żeby przez tę zmianę nie robić jakiegoś wrażenia, uzbrojony wiarą i ufnością w Bogu, postanowił rozpoczętych konferencyi dokończyć. — W rzeczy saméj, kiedy wszedł na ambonę, garstka młodzieży płochéj, która zajęła była miejsce na środku kościoła i w pobliżu ambony, poczęła wychodzić z niejakim szumem. Lecz lud wierny i kochający swego pasterza, który stał na bokach, natychmiast posunął się i zajął miejsce na środku opróżnione. X. Arcybiskup nie tracąc nic przytomności rozpoczął kazanie od następnych słów: „Matka nasza Ojczyzna pogrążona jest w smutku i głębokiéj boleści. Wszystkich ona mocno obchodzi, wszyscy radziby jéj przyjść w pomoc, wszystkie jéj dzieci mają jeden cel, lecz różnemi pospieszają do niego drogami. Społeczeństwo słusznie może być przyrównane do domowéj rodziny; kiedy matkę schwyca niebezpieczne boleści, to się nią wszystkie dziatki strwożone zajmują. Jedno coprędzéj bieży po lekarza, drugie usiłuje ukoić jéj bóle, trzecie, woła księdza, pragnąc jéj zapewnić przedewszystkim zbawienie i wieczne szczęście. Żadne z tych dziatek nie zasługuje na naganę, wszystkich czynności są godne pochwały, wszystkie bowiem pragną przyjść w pomoc matce i wszystkich ona mocno obchodzi. Otóż podobnie ma się i z naszą Ojczyzną, tą wielką rodziną. Wszyscy radzibyśmy jéj przyjść w pomoc, i wszyscy do jednego dążymy celu, ale do dopięcia go nie jednych używamy środków.“

„W końcu kazania podziękował ks. Arcybiskup wszystkim wiernym, nie za słuchanie jego nauk, jak to mylnie w pismach ogłoszono, ale za obfite składki na zaprowadzenie w Warszawie nowego zgromadzenia płci żeńskiéj, co się ma zajmować bezpłatnie wychowaniem ubogich dziewcząt i daniem przytułku niewiastom zgrzybiałym i nieudolnym już do żadnéj pracy.

„Rząd ten naganny czyn kilkunastu młodzieży płochych i po większéj części podobno niekatolików, pewnie zechce wystawić za coś wielkiego, za czyn narodu, i oskarży go o massoneryą, socyalizm i kommunizm, ale żadnéj z tych rzeczy w narodzie polskim nie ma; to tylko jest rzeczą pewną, że wszyscy Polacy pragną Polski w dawnych granicach i zwrócenia unitów około 9 milijonów, które schizma, wydarła kościołowi katolickiemu.“

Zresztą osoby z Warszawy przybywające, które były obecne na nabożeństwie tak znieważonem, zapewniają, że mogło dwieście do trzechset młodych ludzi wyjść z kościoła, ale ten tak był napełniony, że tego ubytku znać nie było. — Według tego można ocenić sprawozdanie do *Dziennika Poznańskiego* z Warszawy przesłane, zamieszczone w numerze 87. z dnia 15. Kwietnia. Kiedy młodzież zapalona wychodziła, ks. Arcybiskup z największą spokojnością pobłogosławił ich z dobrocią. Cała nauka przytomnych rozrzewniła. Zresztą bajka umyślnie ze złą wiarą przez oszczerców puszczona w obieg, jakoby ks. Arcybiskup żałobę miał ganić, a fioletowe kolory do noszenia zalecać, jak jest niedorzeczną tak zupełnie na niczém nie opartą, tak, że nawet cienia do pretextu uzasadnienia plotki w téj mierze ze strony ks. Arcybiskupa nie było. — Że machinacye podobne na podkopanie znaczenia Najprzewielebniejszego Arcypasterza w obozie ludzi niedowiarków się wylęgają, to łatwo pojąć można, bo niecierpliwi niewiarę ewangeliczna praca i poświęcenie cnotliwego Arcykapłana, gniewa owoc już widoczny pasterzowania takiego, połączonego z otwartą ale namaszczoną miłością ojczyzny. — Ale zastanawiać nas musi, jak „*Dziennik Poznański*“ mógł bezwarunkowo otworzyć kolumny dla bajki tak krzywdzącéj człowieka tak potrzebnego i tak zacnego w kapłańskim i obywalelskim zawodzie bez sprawdzenia faktu. Naszém zdaniem nie godzi się tak lekkomyslnie szarpać dobre imie rodaków przez przyjmowanie korespondencyi niczém nie sprawdzonych.

Osoby bardzo poważnego zdania z Warszawy twierdzą, że policya popchnęła do téj szalonéj demonstracyi. Może i tego nie było, niechęć do religii u jednych, u drugich otwarta nienawiść wszystkiego religijnego żywiołu wystarcza do wytłumaczenia zaciekłego obłędu.

Zresztą możemy i w tém zapewnienie dać najzupełniejsze, iż ks. Arcybiskup Feliński jest dalekim od wpływu p. Wielopolskiego, tak w rządach swych archidiecezalnych, jako i w zasadach swych politycznych, puszczone więc podejrzenie, jakoby się radził tego męża stanu w rzeczach swéj jurisdykcyi i swego obywatelskiego postępowania, są również szczerym wymysłem.

Wszyscy znający najbliżéj stosunki duchowne Warszawy, ludzie niepodejrzanych zasad religijnych i najszczerszego patriotyzmu, do żywego czują niesprawiedliwość względem ks. Arcybiskupa i głośno świadczą, że to istny męczennik.

Kardynał Antonelli wręczył posłowi rossyjskiemu w Rzymie wezwanie Biskupów polskich na zjazd biskupi podczas Zielonych świątek. Wiadomo już, że rząd moskiewski odmówił im pozwolenia udania się na te uroczystości.

P. S. W chwili oddania numeru pod prasę, odbieramy Nr. 90 *Dziennika Poznańskiego*, w którym artykuł wstępny obszernie mówi o stanowisku X. Felińskiego. Nie możemy już dziś nań odpowiedzieć, ale to zaręczenie powtarzamy, iż wieść o zakazie żałoby jest najzupełniéj fałszywą.

WŁOCHY.

(Koresp.) **Wenecya,** dnia 1. Kwietnia. Niedawno temu zdarzył się ten wypadek w naszych czasach dosyć rzadki, t. j. wypędzenie złego ducha z opętanego. Nieszczęśliwy ten człowiek przybył umyślnie z Trewiso do Wenecyi, aby tu szukać pomocy ku zrzuceniu z siebie jarzma szatana, z którego o własnéj mocy otrząsnąć się nie mógł. Że zaś rzeczywiście był opętanym, a nie tylko epileptykiem, dowodzi ta okoliczność, że na samę wzmiankę imienia Jezus lub Marya wpadł w konwulsye, a niczem nie było podobna zniewolić go do wymówienia świętych tych imion, czuł przytem mimowolną skłonność do bluźnierstwa, a chociaż był z pospolitego ludu, i znał tylko swoje narzecze, w czasie przecież opętania mówił językiem czysto włoskim, i używał takich zwrotów, jakie tylko ludziom uczonym i wykształconym są właściwe. Udawał się był już do kilku Xięży, prosząc ich, aby błogosławieństwem kościelném oddalili od niego wpływ złego; ale błogosławieństwa te były bezskuteczne. Nieszczęśliwy więc opętanie postanowił uciec się do cudownéj pomocy relikwii Przenajświętszéj Krwi Zbawiciela, przechowywanéj w kościele S. Maria Gloriosa czyli dei Frari, a słynnéj już oddawna z cudownéj pomocy, jakiéj przezeń doznawali chorzy i opętani. Proboszcz tegoż kościoła przekonawszy się o prawdziwości opętania, zasięgnął od duchownéj zwierzchności potrzebnego upoważnienia do odbycia exorcyzmu, i potém w imię Boże wziął się do dzieła. Na początkowe zaklęcia odpowiadał zły duch: „Już inni lepsi od ciebie chcieli mię wypędzić, a nie mogli. I ciebie się nie boję; pozostanę, jak długo mi się będzie podobało, a wyjdę, gdy zechcę.“ Tedy Proboszcz położywszy lewą rękę z relikwią Krwi Najświętszéj na głowę opętańca, a prawicę z obrazkiem Matki Boskiéj na piersi, zawołał silnym głosem: „W imię Jezusa ukrzyżowanego rozkazuję ci, abyś natychmiast opuścił tego człowieka!“ — a oto człowiek ten jęknął, poszamotał się, i padł jakby bez zmysłów. Nie długo przyszedł do siebie, — już był wolny, szatan ustąpił był z niego. — Jakże tu wobec takiego faktu przeczyć jeszcze prawdziwości podań Ewangielii św., i opętanie tłomaczyć jako rodzaj epilepsyi, jak tego nowoczesny racyonalizm koniecznie dowodzi? Rzadko już wprawdzie podziśdzień zdarzają się wypadki opętania, zwłaszcza między Chrześcijanami, od czasu przecież do czasu się powtarzają. Pan Bóg zaś pozwala niekiedy na takie objawy mocy szatańskiéj, aby niedowiarkom dać sposobność przekonania się o mocy Tego, który krzyżową swą śmiercią skruszył jarzmo szatańskie ciążące na całym rodzie ludzkim, aby przekonać ich o żywotności wiary, przed którą dzisiaj nie mniéj korzyć się musi hetman piekielny, jak się korzył za czasów apostolskich. —

Pomiędzy majtkami i żołnierzami okrętowymi stojącymi załogą w Wenecyi znajduje się przeszło 100 Polaków Galicyjskich, Rusinów i Słowaków. Biedni ci ludzie zupełnie prawie byli opuszczeni pod względem religijnym; nie mając bowiem spowiednika, któryby się z nimi mógł porozumieć, albo wcale się nie spowiadali, albo na komendę spowiedź odbywali bez żadnéj dla siebie korzyści u jakiegobądź Xiędza obcego. Kapelan ich tedy, X. Marochini, troskliwy o ich zbawienie, prosił mię, abym się zajął

Do tego numeru dodatek Nr. 8.